

**HERBERT GEORGE WELLS**

# **ATAK Z GŁĘBINY**

**TYTUŁY ORYGINAŁÓW: IN THE ABBYSS THE SEA-RAIDERS  
PRZEŁOŻYŁ ADAM KASKA**

## DWIE GŁĘBIE, DWIE OTCHŁANIE.

*Pamięci Edka Kuffla poświęcam*

Dwa opowiadania Herberta George'a Wellsa, które czytelnik otrzymuje w edycji Wydawnictwa Morskiego, czytane być mogą przynajmniej na trzy różne sposoby, wzajemnie się zresztą wcale nie wykluczające.

Można by więc je na przykład czytać po prostu dla rozrywki ze szczególnym zainteresowaniem dla akcji obu utworów, niecierpliwie czekając na wyjaśnienie, co się stanie z Elsteadem po zanurzeniu się w głębiny morskie, lub jak się skończy przygoda pana Fisona na skałach wybrzeża Kornwalii. Dla tego typu lektury wstęp wprowadzający jest całkowicie zbyteczny — mógłby on zdradzić czytelnikowi rozwiązanie akcji tych krótkich opowieści, pozbawiając go przyjemności oczekiwania na ich koniec, przyjemności zupełnie podstawowej w bezpośrednim odbiorze literatury. Może więc do wstępu tego zajrzemy dopiero po skończeniu lektury?

Czytać te opowiadania można by też. było w ścisłym związku z profilem tematycznym wydawcy, jeszcze bliżej określonym serią publikacji, w której nowelki te się pojawiają. Krąg przypuszczalnych odbiorców naszego niewielkiego tomiku okazałby się wówczas nieco wąski — zacieśniłby się on bowiem do tych osób, które w sposób szczególny związane są z morzem właśnie, czy to poprzez wykonywanie „morskiego” zawodu, czy przez fakt zamieszkania na terenie do morza przyległym i w środowisku z morza żyjącym, czy też po prostu z powodu wyjątkowych swych zainteresowań tym tematem. Odbiorcę takiego ciekawić by mogło, czym był ów żywioł dla ludzi mniej lub bardziej odległych epok, jaki był do niego stosunek wielkich postaci historycznych, jak z tego tematu korzystali znani twórcy i pisarze. Dwa opowiadania H.G. Wellsa, wyjątkowe w jego spuściźnie literackiej poprzez fakt, iż akcja ich dotyczy niezwykle wydarzeń morskich, pociągać by więc mogły swego czytelnika nie tylko dlatego, że są relacją niezwykle przygód na morzu, lecz również i dlatego, że świadczą o tym, co na początku naszego wieku taką przygodą być mogło, czego się spodziewano po odkryciach w głębinach oceanu (a jakże naiwna była wówczas ta wyobraźnia!), czego się też w owych czasach ze strony morza obawiano.

Czytelnikowi o tym typie zainteresowań przypomnieć może warto, iż H.G. Wells był szczególnie predysponowany do napisania takich właśnie opowiadań morskich, opowiadań, które wskazują na fascynację życiem w głębinach oceanu. Miał przecież za sobą studia biologiczne, a wiele recenzji z książek naukowych, które pisał w latach 1887–1901, poświęconych było pozycjom z tej dziedziny. Dwie z tych recenzji mogą być — jak się zdaje — ściśle związane z opowiadaniem, które czytać będziemy. Jedna z nich, o książce S.J. Hicksona *Fauna głębokiego morza*, została opublikowana w „Pall Mall Gazette” pod znamienym tytułem *Życie w głębinach* dziesiątego lutego 1894 roku. W recenzji tej Wells stwierdzał, iż wiedza o morzu znajduje się na bardzo przyjemnym etapie: wystarczy ona, aby pobudzić wyobraźnię, a zarazem jest zbyt mała, by wyobraźnię tę przytłumić. Wyobraźni właśnie, jak zobaczymy, dał się Wells swobodnie ponieść, pisząc dwa lub trzy lata później opowiadanie pod podobnym tytułem.

Druga recenzja, zamieszczona w „Pall Mall Gazette” w sierpniu 1894 roku, pod tytułem *Rośliny fosforyzujące*, stanowi pochwałę książki Knera von Marilaun *Historia naturalna roślin*, którą Wells poznał w tłumaczeniu P.W. Olivera. Wiedza o świecących roślinach morskich przydała się później — być może — autorowi w przedstawieniu świata fikcyjnego jednego z naszych opowiadań, który zostanie rozświetlony nie tylko przez reflektor z prymitywnej batysfery Elsteda, ale także przez fosforyzujące ryby i fosforyzujące odzienie podwodnych istot.

Zdajemy więc sobie sprawę, że jednym z kontekstów, w którym można umieszczać naszą lekturę, jest ówczesna wiedza o morzu. Byłby to wszakże kontekst znowu bardzo wąski. Opowiadania Wellsa świadczą przecież nie tylko o tak „specjalistycznym” aspekcie niegdysiejszej wiedzy, lecz także wyrastają z całej kultury końca dziewiętnastego wieku — z problemów, zainteresowań, obaw ówczesnego społeczeństwa. Rozumiemy też, że pytania o te zainteresowania i obawy, o ich przejaw w tekstach tu prezentowanych, to pytania jak gdyby „obok” samych opowiadań, które potraktowane zostają wówczas jako d o k u m e n t epoki. A przecież nie po to były pisane, by o epoce owej zaświadczyć. Były pisane przede wszystkim jako szkice literackie, powstawały obok różnych dzieł literackich zarówno innych pisarzy jak i samego Wellsa. A więc i w tej perspektywie czytane być mogą: jako teksty literatury, korzystające z pewnych konwencji na terenie literatury wypracowanych, dążące do pobudzenia pewnych określonych reakcji czytelnika, pisane pewną techniką narzucającą bogatszy zasób znaczeń, niż by się to początkowo wydawało.

Spróbujmy więc przyrzeć się pobieżnie obu tym kontekstom: epoki i literatury — w nadziei, iż pogłębi to nasze odczytanie opowiadań. Nie stać nas będzie na pełny tych kontekstów obraz — uchwycimy z niego tyle tylko, ile przydać się nam może w naszej lekturze. Ale też i świadomi będziemy tego, że to twórczość Wellsa właśnie skupia w sobie, jak w soczewce, wszystkie niemal podstawowe nurty i tendencje nie tylko literackie, ale również i szerzej, nurty i kierunki kulturowe tego okresu.

## 2

Oba opowiadania, które znalazły się w centrum naszego zainteresowania, ukazały się w siódmej kolejnej publikacji literackiej ich autora, w zbiorze nowel *The Plattner Story and others*, w roku 1897. Był to — jak widać choćby z samej daty — koniec wieku, *fin de siècle*. Owo poczucie nadchodzącego końca epoki, zmierzchu wspaniałego okresu wyteżonej aktywności umysłowej i działań praktycznych, poczucie niepewności i obawy przed zbliżającymi się nowymi czasami upowszechniało się wówczas niezwykle silnie w wykształconych kręgach społeczeństwa angielskiego. Mijał oto czas upajającego rozkwitu w imperium światowe; mijały lata względnie spokojnego i dostatniego panowania „dobrej królowej Wiktorii” (zmarła w roku 1901); mijał okres kolejnych reform administracyjnych i społecznych, starających się sprostać wymaganiom nowych układów w populacji: zwiększeniu ludności miast w obliczu nagłego, szybkiego rozkwitu przemysłu i wzrostu proletariatu; mijał wreszcie czas niebywałego, jak dotąd, rozwoju cywilizacji i nauk szczegółowych. Coraz wyraźniej ujawniały się wszakże i zagrożenia w postępie tak wieloaspektowym ukryte.

Zachwiały się oto przede wszystkim neoklasycystyczny jeszcze obraz harmonii świata, wsparty romantycznym przekonaniem o wartości człowieka i jednostki. Nowe odkrycia w geologii ukazały obraz rozległych perspektyw czasowych, prowadzących miliony lat wstecz, w których to perspektywach historia człowieka okazała się krótka, jak mgnienie oka. Z kolei odkrycia astronomiczne przyniosły poczucie zawrotu głowy wobec rozmiarów przestrzeni kosmicznej, odległości gwiazdnych oraz energii magnetycznych i grawitacyjnych — jakże pomniejszających status technologicznych osiągnięć ludzkości. Poprzez darwinowską teorię ewolucji człowiek dojrzał własną zwierzęcość i przypadkowość; teoria doboru naturalnego nie tylko załamała powszechne rozumienie historii stworzenia, ale także — jak się wówczas wydawało — kompromitowała wierzenia w szczególną rolę i miejsce człowieka w świecie przyrody; dojrzenie rządzącej wszystkim walki o byt podminowało wiarę we wszystkie niemal etyczne, moralne i estetyczne wartości *homo sapiens*. W perspektywie zaś nauk społecznych okazało się, iż jednostka nie ma znaczenia, iż jest nieliczącym się wręcz zerem

wobec anonimowych praw produkcji i kumulacji kapitału, determinujących historyczne dzieje kolektywów.

We wcześniejszej zaś nieco praktyce społecznej rosnąca wtedy wiara w postęp cywilizacyjny i dążenie do sukcesu społecznego rozbudowały w późniejszym okresie, nas tu interesującym, sztywny system zasad, rządzący i dyktujący jednostce jej sposób życia. Powstały zwyczajowe standardy społecznych zachowań oparte na represyjnych regułach zachowania zewnętrznego, zamykające jednostkę w konformizmie, w drobnomieszczańskim zadbaniu o zewnętrzne oznaki przyzwoitości, w swoistej „dulszczyźnie”. Społeczeństwo objawiło swoje oblicze „zbiorowego średniactwa”, ujawniając zarazem zakłamanie rodzinnej i jednostkowej moralności „na pokaz”. Człowiek jako jednostka poczuł się w tym świecie wyobcowany, przestał rozumieć świat jako znaczącą i celową całość, mimo iż nauki tłumaczyły mu i wyjaśniały poszczególne aspekty jego uniwersum, od historii Ziemi poczynając, a kończąc na jego własnej genealogii jako gatunku. Nie mogło mu się. to wszakże wszystko powiązać w sensowną całość; świat okazał się tajemniczy, kryjący w sobie zaskakujące niespodzianki, w istocie swej albo obojętny, albo wręcz człowiekowi wrogi. Nawet drugi człowiek, w którego wartości moralne trudno było uwierzyć, w świetle teorii walki o byt, mógł okazać się zagrożeniem. Jednostka— została podporządkowana żelaznym prawom tego świata, swobodne jej wybory i decyzje zostały zdeterminowane społecznym zakorzenieniem poszczególnego człowieka i jego człowieczą tylko już (nie aż!) naturą. Człowiek poczuł się sam w ogromnym świecie, czyhającym na jego zgubę, pozbawiony tradycyjnych więzi i autorytetów, zduszony w swej wyjątkowości przez konwenanse społeczne, prowadzony w niewiadome przez mechanizmy społecznej, cywilizacyjnej i technicznej ewolucji; poczuł się nieważny, ograniczony, wyalienowany.

Cóż mogła więc przynieść nadchodząca przyszłość? Jakie nowe zagrożenia miały się objawić na granicy epok? Co mogło czekać człowieka i ludzkość w wieku dwudziestym? Te i tym podobne pytania były w końcu epoki nacechowane obawą i lękiem, nie niosły radosnego oczekiwania na dalszy postęp, na większe zdobycze i triumfy.

Literatura tego okresu daje świadectwo o takim właśnie obrazie kultury, poświadczają<sup>^</sup> wszystkie niepokoje i lęki ówczesnego człowieka. Wiele utworów epoki *fin de siècle*'u obiera za swój cel przede wszystkim stworzenie mimetycznego obrazu społeczeństwa oraz jego siły determinującej poczynania i życie jednostki. Bliskie są one nieraz naturalizmowi, jak na przykład słynna powieść George'a Moore'a *Esther Waters* (1894), traktująca o losach uwiedzionej dziewczyny, podobna w swym głównym temacie do równie słynnej powieści Thomasa Hardy'ego *Tess of the D'Urbervilles* (1891), który w innym swym utworze, *Jude the Obscure* (1895), ukazał znów bardzo deterministyczny i ponury obraz życia jednostki. Po roku 1900 ten nurt w literaturze znalazł swą kontynuację najbardziej typową w twórczości Arnolda Bennetta, choćby w cyklu z życia „pięciu miast” wielkiego okręgu przemysłu ceramicznego, Staffordshire: W roku 1906 rozpocznie swoją wielką sagę Forsyte'ów John Galsworthy, portretując pokolenie przełomu wieków, opanowane żądzą gromadzenia kapitału.

W tym nurcie znajdują też swoje miejsce i niektóre utwory Wellsa, czy to komediowe scenki z życia niższych warstw mieszczańskich (*The Wheels of Chance*, 1896), czy też ironiczne obserwacje niezwykłych odwiedzin anioła lub syreny w zwykłym środowisku pospolitych obywateli — odwiedzin, które dają okazję do szczegółowej penetracji ludzkiej przeciętności, owego „zbiorowego średniactwa” małomiasteczkowego światka (*The Wonderful Visit*, 1895; *The Sea Lady*, 1902). Znajdą też tu swoje miejsce wreszcie i poważne próby socjologicznych analiz drobnomieszczaństwa w takich powieściach jak *Love and Afr. Lewisham* (1900), w utrwalających sławę pisarza utworach *Kipps* (1805), *The History of Mr. Polly* (1910), czy w opowieści o społecznie „wyzwolonej” kobiecie, w *Ann Veronica* (1909).

Tego typu opisy, czasem szydercze, czasem kpiące, czasem zaś — jak w przypadku Hardy’ego — tragiczne, kształtują dość przygnębiający obraz społeczeństwa i rysują posępną wizję czasu teraźniejszego epoki *fin de siècle’u*. Taki świat — jak się wydaje autorom — zmierza chyba ku jakiejś katastrofie, nie może on bowiem trwać dalej, musi się zmienić, załamać, czy to na skutek gwałtownych przemian politycznych, czy też kataklizmu przyrodniczego. Pojawia się nurt literatury katastroficzo–profetycznej, przewidującej kasandrycznie najbliższą przyszłość imperium angielskiego, Europy i świata, przepowiadającej ruinę starego porządku i nadejście nowych czasów, czasem wymagających od człowieka budowy cywilizacji i społeczeństwa od samego początku, czasem kształtujących utopijny obraz świetlanej przyszłości czekającej ludzi po strasznych przeżyciach okresu przejściowego.

Nurt ten, zapoczątkowany przez pojawienie się utworu *The Battle of Dorking* w roku 1871, w którym autor, Sir G.T. Chesney, opisywał pruski najazd na Anglię, stanie się natychmiast bardzo popularny. Powieść Chesneya zostanie powielona w ośmiu różnych wersjach tematycznych przez innych pisarzy, w roku 1876 Niemcy zaatakują wyspy brytyjskie przechodząc przez tunel pod kanałem La Manche w powieści *The Channel Tunnel* (autor ukryty pod mówiącym pseudonimem „Cassandra”), w roku 1877 inna anonimowa powieść, *Fifty Years Hence*, zapowie upadek Anglii. Inwazja Anglii stanie się tematem utworu W.F. Butlera w roku 1882, strach przed napaścią przez słynny już tunel odezwie się ponownie w powieści C. Fortha *The Surprise of the Channel Tunnel* w roku 1883, zagrożenie i upadek Londynu opowiedziane zostaną przez „Posteritas” w utworze *The Siege of London* (1884), w powieści R. Jefferies’a *Aiter London* (1885), przez J. Feddiego w *The Capture of London* (1887). W pierwszej połowie wieku dwudziestego, niemal aż do wybuchu drugiej wojny światowej, ten nurt powieści będzie kreował obrazy rozmaitych katastrof czekających Anglię i świat w niedalekiej przyszłości. Sam Wells w swoich powieściach przedstawi wizję przyszłościowych zmian politycznych (*When the Sleeper Wakes*, 1899 i *The War in the Air*, 1908) i połączy je z przewidywaniem utopijnego społeczeństwa (*The World Set Free*, 1914; *The Shape of Things to Come*, 1933). Da też najbardziej chyba słynny wyraz ówczesnym obawom i lękom tworząc pierwszą powieść o inwazji z Marsa w *The War of the Worlds* (1898) i parę lat później przewidując świetlaną przyszłość ludzkości po wejściu Ziemi w pasmo dobrotliwego gazu kosmicznego (*In the Days of the Comet*, 1906). Takie właśnie tło dominujących tendencji kulturowych końca epoki, a także świadomość popularnych konwencji literackich zarówno mimetycznego opisu rzeczywistości, jak i technik narracyjnych zmierzających do uprawdopodobnienia elementów fantastycznych potrafi przynajmniej częściowo wyjaśnić nam pojawienie się pewnych pomysłów i sposoby ich realizacji w dwóch szkicach H.G. Wellsa, stanowiących naszą lekturę.

### 3

Jesteśmy oto na pokładzie statku, z którego wkrótce wyruszy jednoosobowa wyprawa w niezbadany dotąd i wciąż tajemniczy świat głębin morskich. Niewiele już takich miejsc pozostało na kuli ziemskiej, do których by człowiek nie dotarł, a i te, dotąd niezdołbane, to raczej punkty za mapie, niż nieznanne krainy: bronią się przed człowiekiem jeszcze oba bieguny Ziemi, nietknięte stoją najwyższe szczyty górskie. Aby się dostać w świat dziwów, trzeba byłoby albo wyprawić się poza Ziemię — w podróż do Księżyca, na przykład — lub też szukać pogubionych na oceanie nieznanych małych wysepek. Ze światem fascynujących głębin morskich mogłyby tu, na planecie, konkurować chyba tylko mało spenetrowane tereny Ameryki Południowej. Nic dziwnego, że tam właśnie znajdzie się też i Wells, odkrywając swoją „Krajinę niewidomych” u stóp Parascotopetlu oraz imperium mrówek w dorzeczu

Amazonki. Bo z Wellsa podróżnik jest nie byle jaki — szukał on już nieznanymi wysp, znajdując tam przedpotopowe stworzenia („Aepyornis Island”), będzie towarzyszył pierwszym argonautom powietrza, wyprawi się też i na Księżyc. Wiekopomną wszakże podróż w przyszłość odbył już „Wehikułem czasu”. Pora więc teraz właśnie na głębiny morza.

Towarzyszy tym wszystkim wyprawom zawsze staranne przygotowanie techniczne. O tajnikach zaś tych przygotowań trzeba również poinformować czytelnika: o tym, że wyprawa odbędzie się w wielkiej kuli stalowej, pieczołowicie wyścielonej od środka poduszkami z powietrzem; że okna w tej kuli zaopatrzone w niezwykle grube szkło; że znajdzie się też w środku aparat Myersa, pochłaniający kwas węglowy i uzupełniający tlen w pomieszczeniu. Te szczegóły techniczne mogłyby się wszakże okazać nużące w lekturze. Jak więc podtrzymać zainteresowanie odbiorcy? To proste: trzeba mu uzmysłowić całe niebezpieczeństwo podejmowanego ryzyka, wyliczyć dokładnie straszne ciśnienie wody w głębinach, poddać w wątpliwość wytrzymałość szkła i niezawodność mechanizmu zegarowego, wyrazić obawę o możliwe działania istot żyjących na dnie morza. Inaczej mówiąc, potrzebna jest doza sceptycyzmu we wszechpotęgę techniki człowieka, owej stali, grubego szkła i aparatów, potrzebne jest uzewnętrznienie typowego przecież dla epoki przekonania, że człowiek jest tylko nędznym pyłem wobec potęgi przyrody, że nie liczą się jego starania wobec przepastnego ogromu otaczających go otchłani wody i nieba. Takie właśnie słowa, taka opinia zostanie więc włożona w usta porucznika Weybridge’a, od początku naszej opowieści ujawniającego w dialogu ze swym towarzyszem zaniepokojenie przyszłym losem śmiałka Elsteada. To ujawnione zaniepokojenie w początkowej partii opowiadania pobudzić ma również zaciekawienie czytelnika, który zadać sobie musi też pytanie, czy aby przypadkiem porucznik nie ma racji. Szczególnie prawdziwe może się to okazać w procesie lektury współczesnej, gdy odbiorca lepiej sobie zdaje sprawę z całego prymitywizmu prowizorycznej batysfery.

Zaciekawienie czytelnika nie od razu też zostanie zaspokojone. Oto bowiem okazuje się, że wszechobecny przecież i wszechwiedzący narrator nie towarzyszy Elsteadowi w jego zstąpieniu w otchłań wodną. Jesteśmy tylko świadkami jego pogrążenia się w oceanie, a potem przez kilka następnych stron, wraz z całą załogą statku „Ptarmigan” skazani jesteśmy na niecierpliwe oczekiwanie powrotu badacza. Spoglądamy więc wraz z kapitanem na tarczę zegarka, przypominamy sobie tę niepewną grubość szkła w okienkach kuli, a napięcie szczytu sięga, gdy okazuje się, że Elstead dawno już powinien był powrócić. A nawet wtedy, kiedy wreszcie porucznik Weybridge dojrzy wyskakującą z morza kulę, a statek pocnie jej poszukiwać w ciemnościach nocy — nadal dręczy nas niepewność co do losu podróżnika, dopóki nie udostępni się nam informacji, że wyniesiony z wnętrza batysfery nieprzytomny Elstead jednak żyje. I teraz dopiero, kiedy minęła już połowa opowieści, rozpocznie się właściwa jej część — relacja samego Elsteada.

Bardziej świadomy czytelnik z podziwem zauważy wyniki precyzyjnego warsztatu pisarskiego: doświadczenia prozy mimetycznej podsuwają nielogiczność zamieszczenia tu tej relacji w pierwszej osobie — Elstead jest wzburzony po swej przygodzie, wyczerpany nerwowo i fizycznie, nie może więc opowiadać „po porządku”. Tak więc narrator musi go w tym zastąpić, musi uporządkować chronologicznie tę opowieść, wzmacniając poczucie prawdopodobieństwa całej historii. Ale przecież, chodzi też o coś innego: relacja pierwszoosobowa musiałaby czytelnika bliżej zetknąć z samym opowiadającym, odbiorca identyfikowałby się z relacjonującym swe przygody Elsteadem, a potem finalne strony opowiadania przyjąłby mógł jako tragedię bohatera, jako tragedię niemal własną tego „ja”, z którym się poprzednio utożsamiał. Taka reakcja nie jest przez pisarza ani zamierzona, ani pożądana, bo nie o indywidualnej tragedii ma to być opowieść.

Uporządkowane przez narratora opowiadanie Elsteada ujawnia wreszcie mimowolnie cel tej wyprawy, o którym dotąd nie padło ani jedno słowo. Bo czyż podróżnik wybierał się na dno w celach naukowych? Nie wziął przecież ze sobą żadnych instrumentów badawczych oprócz reflektora, nie obmyślił sposobów pobrania próbek dna i wody czy odłowienia ryb, krabów i innych stworzeń. Nie pomyślał nawet o notowaniu swoich wrażeń na bieżąco. Wyprawiał się więc trochę sportowo (strój, w którym pojawił się po raz pierwszy na pokładzie też by na to wskazywał!), a trochę w nadziei na jakąś nadzwyczajną przygodę, z której jednak chciał wyjść żywy. Oczekiwał, że zobaczy jakieś dziwne stworzenia morskich głębin, że odkryje coś, co dotąd odkryte nie było, ciekaw był tajemnic. Elstead jest najwyraźniej reprezentantem epoki minionej, niespożytej energii wiktorianinem, łatwo zawierającym zabezpieczeniom nauki i techniki, pewnym poznawalności wszechświata, nieskazitelnie, na białym ubranym dżentelmenem idącym na spotkanie niebezpieczeństwa z roześmianymi oczyma i z papierosem w ustach, który w nieznanym i odległym zakątku świata pojawia się tubylcom jak wszechmogący bóg zstępujący z tych regionów, które zsyłają im karzącą śmierć lub niespodziewane bogactwo. Oczekiwania Elsteada spełniły się w zadziwiający sposób. Odkrył oto bowiem nowy, cudowny świat podmorskich człekopodobnych istot, które potraktowały go właśnie jak wysłańca niebios. Ironia jednak wyraźnie zostaje zaznaczona: Elstead wraca do swego świata nie w wyniku własnych decyzji i starań, lecz na skutek szczęśliwego przypadku, wraca nieprzytomny i poobijany. W opowieści ukryte też jest i ostrzeżenie: z drugiej swej podróży w nowo odkryty świat Elstead już nie powróci w ogóle, mimo ulepszeń zastosowanych w batysferze.

Zarysował się też w tej opowieści niepokojący i refleksyjny budzący model wszechświata. Bo któż może zapewnić nas, że i nad nami gdzieś — może w powietrznych regionach, a może na innych planetach — nie znajduje się inny świat potężniejszych od nas istot, tak jak my potężniejsi się sobie wydajemy od napotkanych przez Elsteada tubylców głębin morza? Nawet i ci tubylcy zagrożeni potrafili życiu ich odkrywców, a cóż może nas czekać ze strony tych innych, którzy w każdej chwili gotowi zstąpić tak, jak Elstead zstąpił w otchłań fal morskich? Przecież otoczeni jesteśmy — według słów sceptycznego porucznika — przez dwie otchłanie: przez głębiny morza i głębiny nieba.

Myśl tę i konsekwencje takiego modelu wszechświata, potrafiącego zachwiać naiwną pewnością siebie rodu ludzkiego, rozwinie Wells szerzej w rok po napisaniu naszego opowiadania — w *Wojnie światów*.

Ujawnił się ostatecznie cel niepozornego szkicu: poprzez zafascynowanie czytelnika losem śmiałka i niespodziewanym fantastycznym elementem spotkanego w głębinach społeczeństwa inteligentnych mieszkańców; morza szkic ten miał sprowokować refleksję nad kształtem wszechświata, nad możliwością istnienia w nim wielu rodzajów istot inteligencją obdarzonych. Miał też podsunąć wątpliwość w uprzywilejowaną pozycję człowieka w takim, uniwersum, przypomnieć o ludzkiej znikomości i o czającym się we wszechświecie zagrożeniu.

Zadziwieni nieco perspektywami, które otworzyły się nam w lekturze pierwszego drobiazgu literackiego, z tym większym zainteresowaniem sięgamy po drugie opowiadanie. I znów okazuje się ono opowieścią o zagrożeniu. Tylko nie ma już potrzeby szukać go głęboko na pełnym morzu — wyszło ono samo z głębin na płytkie zatoki i na piasek plaż. Niespodziewany wróg ujawnił się oczom jednego z nas, przeciętnego emeryta, w czasie spokojnej popołudniowej przechadzki po przybrzeżnych skałach. Ujawnił się w trakcie pożerania ludzkiego ciała; zamącił nagle naszą pewność absolutnego bezpieczeństwa w kraju, który od wieków nie znał dzikich zwierząt, gdzie matki spokojnie udawały się wraz z dziećmi na kilkugodzinną przejażdżkę łodzią po zatoce, a pływakom nie zagroził nawet żaden rekin.

Wróg ujawnił się zresztą nie po raz pierwszy — choć, jak się za chwilę dowiemy, nikt ze świadków poprzednich spotkań nie mógł już złożyć z nich swego sprawozdania.

Sprawozdania właśnie. Bo też od pierwszych stron opowieść o najeździe nieznanych głowonogów na wybrzeża Kornwalii czyta się inaczej niż dialog z początków poprzedniego szkicu. Relacja ta brzmi prawie jak szczegółowy i zręczny raport oficera policji dla zwierzchników, jak wyciąg z kilku protokołów dokładnego przesłuchania świadków. Troska o każdy szczegół jest tu tak widoczna, a najdrobniejszy z nich tak starannie zanotowany i omówiony, że czytelnik nie może mieć wątpliwości, iż przekazuje mu się całą dostępną prawdę o wydarzeniu. Nawet wtedy, gdy brak jakiejś informacji, ów protokół natychmiast to podkreśli. Mimo więc, że kilkakrotnie zwróci się też uwagą na nadzwyczajność wypadków, na ich niespotykany przebieg i charakter, a także na fantastyczność istot morskich, zwłaszcza ich inteligencję — czytelnik nie odnosi wrażenia, iż czyta opowieść fantastyczną.

Dlaczego tak się dzieje? Bo nie idzie już tym razem jedynie o zaciekawienie czytelnika niespotykaną przygodą czy też o sprowokowanie go do refleksyjnej spekulacji nad możliwym kształtem świata i nad miejscem w nim człowieka. Szkic ten ma najwyraźniej postawić odbiorcę przed dokonaniem już faktem, przed stwierdzonym w jego teraźniejszości, istniejącym już, dziś właśnie zagrożeniem. Opowieść zdąża do wywołania emocjonalnej reakcji czytelnika, emocjonalnego zachwiania jego pewności siebie poprzez przekonanie go o prawdziwości przedstawionych wydarzeń. Chce zmusić go do przelotnej choćby myśli: „A może to było naprawdę?” Stąd też i tak staranne zlokalizowanie akcji, opatrzenie opowieści nazwami geograficznymi i szczegółowym opisem topograficznym skał wybrzeża. Ku temu właśnie zmierza naukowe niemal wyliczenie poprzednich wypadków, stwierdzających istnienie podobnych głowonogów i zacytowanie łacińskiej nazwy tego gatunku. Stąd też i protokolarny dystans narratora, referującego stylem reportersko-policyjnym zdarzenia, odnotowującego pilnie, iż kaszalot został wyrzucony na brzeg trzeciego czerwca i że było to dokładnie w dwa tygodnie i trzy dni po historii w Sidmouth, kiedy ujrzano raz jeszcze żywego *Haploteuthis*. Po to również pojawi się i przywoływanie naukowych autorytetów, konstruujących różne teorie na temat głowonogów. „Czyżby to wszystko było prawdą?” — ta zamierzona reakcja odbiorcy jest jednocześnie zabarwiona swoistym zawieszeniem napięcia, kształtuje się jako oczekiwanie, czy najbliższa przyszłość potwierdzi niepokojące sygnały o niebezpieczeństwie. Autorowi opowieści pozostaje już tylko próba uspokojenia rodzących się obaw — przewrotnie przecież — pozostaje jedynie wyrażenie wiary i nadziei w to, iż odwrót potworów w głębiny nastąpił bezpowrotnie. Nadzieja ta — jeśli idzie o literackie spotkania z tajemniczymi przybyszami — okaże się zawodna.

Bo pamiętać przecież trzeba, że opowiadania stanowiące naszą lekturę to ledwie wprawki literackie; że są one jakby pierwszą notatką, pierwszą próbą rozwinięcia pomysłu. Jak wielka była nośność tematyczna niektórych elementów tego pomysłu, świadczyć może ich opracowanie w odmiennych wersjach czy to przez samego Wellsa, czy przez innych autorów. Już we wspomnianej poprzednio Wojnie światów okaże się, że przybyli na Ziemię Marsjanie są niezwykle podobni zewnątrznie do spotkanych przez nas *Haploteuthis jerox*. Jak widać, w wyobraźni autorskiej zagrożenie z głębin morza niezwykle silnie zostało związane z zagrożeniem idącym z otchłani kosmosu. Fascynację tymi dwoma obszarami potwierdzi też jeszcze w roku 1953 John Wyndham, przedstawiając w swej powieści pod tytułem *The Kraken Wokes* inwazję istot z Neptuna, których właściwym terenem życia i działania mogą być na Ziemi tylko największe głębiny morskie. W tejże powieści opisy polowania na mieszkańców nadmorskich miast i wiosek, dokonywanego przez napastników z głębinowych czołgów za pomocą ośmiornico-podobnych pułapek, prezentują tylko wzbogaconą w szczegóły techniczne wersję tego niebezpieczeństwa, którego świadkiem był pan Fison w Sidmouth. Ale i wcześniej też, w roku 1936, Karel Čapek opisze dokładniej rozmiary katastrofy rodzaju ludzkiego w spotkaniu z inteligentną rasą istot morskich w swojej powieści

Inwazja jaszczurów, a w roku 1929, w powieści Conan Doyle'a *The Maracot Deep* w głębiny morza zejdzie śladami Elsteada trójka śmiałków, by odkryć tam miasto podwodne Atlantydwów, uświadamiając człowiekowi ponownie ostrzeżenie, iż w zamierzchłej przeszłości ludzkość już raz osiągnęła wyżyny techniki i cywilizacji, ale — korzystając z osiągnięć swych egoistycznie — zatopiona została na dnie oceanu.

Literatura, o której tu mówimy, to — w sposób oczywisty — literatura fantazji, często surowo dość traktowana przez krytyków literackich. Ale to ona właśnie najbardziej jest uczulona i najwyraźniejszym zwierciadłem i obaw, i marzeń ludzkości w poszczególnych epokach. Czasem wyraża te lęki i oczekiwania bezpośrednio i naiwnie, czasami — pod piórem najwybitniejszych pisarzy — potrafi zbudować model świata metaforycznie przekazujący doświadczenie nas wszystkich. Literackie drobiazgi Wellsa, jak widzieliśmy, zakorzenione mocno w tradycji, ujawniające nawet romantyczne poczucie tajemnicy wszechświata, przełamują już wiktoriańską postawę ufności wobec nauki i techniki, rezygnują z pewnej siebie nonszalancji podróżnika i odkrywcy czującego za sobą potęgę Imperium, sygnalizują model świata ogromnego i nieogarnionego poznaniem człowieka, w którym — aby użyć tu obrazowania z o wiele późniejszych przecież wierszy Sylwii Plath — człowiek czuje się samotny i zagrożony w obliczu dwóch głębi, dwóch otchłani: przepaści morza u jego stóp i czaszy nieba nad głową. Nic dziwnego, że budzi się w nim lęk, iż obie przestrzenie — jak szczęki zawieszony na zawiasach horyzontu — mogą się kiedyś zatrzasnąć w finalnym akcie *fin du monde*.

Andrzej Zgorzelski

## W OTCHŁANI

Porucznik stał przy stalowej kuli i gryzł kawałek sosnowej drzazgi. — Co pan o tym sądzi, panie Steevens? — zapytał. — Całkiem niezły pomysł — odparł Steevens tonem człowieka, którego niełatwo zadziwić...

— Chyba to się zgniecie... na placek — powiedział porucznik.

— Zapewne wszystko dobrze obliczył — stwierdził Steevens, nadal beznamiętnie.

— Ale pomyśl pan o ciśnieniu — odezwał się znowu porucznik. — Na powierzchni wody wynosi ono czternaście funtów na cal, trzydzieści stóp głębiej już dwa razy tyle; sześćdziesiąt — trzy razy więcej; dziewięćdziesiąt — cztery razy; dziewięćset — czterdzieści razy; pięć tysięcy — trzysta... to już mila, czyli dwieście czterdzieści razy czternaście funtów... to byłoby... chwileczkę... trzy tysiące, czyli półtorej tony, panie Steevens: półtorej tony na cal kwadratowy. A tam, gdzie on się, wybiera, ocean ma pięć mil głębokości. To wynosi siedem i pół...

— Brzmi to groźnie — przerwał Steevens — ale ta stal jest bardzo gruba.

Porucznik zamilkł, lecz znowu zaczął gryźć drzazgę. Przedmiotem ich rozmowy była olbrzymia stalowa kula o zewnętrznej średnicy około dziesięciu stóp. Wyglądała jak pocisk jakiejś gigantycznej armaty. Kulę przemyślnie osadzono na olbrzymim rusztowaniu wbudowanym w szkielet okrętu, a potężne belki, które miały przerzucić ją do morza, nadawały jej kształt wzbudzający zaniepokojenie każdego szanującego się marynarza od portu londyńskiego po Zwrotnik Koziorożca. W dwu miejscach w stalową powłokę wmontowano, jedno nad drugim, dwa okrągłe okienka z potwornie grubego szkła. Pierwsze z nich, oprawne w grubą stalową ramę, było teraz częściowo odśrubowane. Wnętrze kuli obaj mężczyźni zobaczyli tego ranka po raz pierwszy. Było starannie wyściełane pneumatycznymi poduszkami, a między ich wypukłościami znajdowały się dźwigienki do sterowania prostym mechanizmem całego urządzenia. Wszystko dokładnie otoczono miękką wyściółką, nawet aparat Myersa, który miał absorbować kwas węglowy i uzupełniać tlen wydychany przez pasażera, gdy prześlizgnie się już przez szklany właz i zostanie zaśrubowany. Poduszki były tak miękkie, że człowieka można byłoby całkiem bezpiecznie wystrzelić z armaty. I słusznie, gdyż właśnie pewien człowiek zamierzał wpełznąć do wnętrza, miano go dokładnie zaśrubować i przerzucić za burłę, by spadał... spadał... spadał... przez pięć mil, tak jak powiedział porucznik. Ta sprawa całkowicie go pochłaniała i zanudzała wszystkich w mesie, dopóki nie stwierdził, że Steevens, który niedawno przybył na pokład, idealnie się nadaje do gadania z nim w kółko na ten temat.

— Moim zdaniem — odezwał się znowu porucznik — to szkło po prostu się wygnie, wkleśnie i trzaśnie pod takim naciskiem. Daubree udowodnił, że pod wysokim ciśnieniem skały rozpływają się jak woda... I zapamiętaj pan moje słowa...

— Jeśli szkło pęknie, to co wtedy? — zapytał Steevens.

— Wtedy woda strzeli do środka jak strumień płynnego żelaza. Czy poczuł pan kiedy na sobie wytrysk wody pod wysokim ciśnieniem? Uderza twardo jak kula karabinowa. Po prostu zmiążdży go, rozduśi. Rozedrze mu gardło i płuca, wbije się w uszy...

— Ależ pan ma bujną wyobraźnię! — przerwał Steevens, który żywo przedstawił sobie to wszystko.

— Stwierdzam tylko nieuniknione fakty — oświadczył porucznik.

— A kula?

— Po prostu wypuści kilka małych bąbelków i osadzi się wygodnie aż do dnia sądu ostatecznego w mule na ilastym dnie... z biednym Elsteadem rozsmarowanym na zgniecionych poduszkach jak masło na chlebie.

Powtórzył to zdanie, jakby mu się ono szczególnie podobało:

— Jak masło na chlebie...

— Oglądacie naszą piłeczkę? — spytał jakiś głos i za nimi stanął Elstead, elegancki w białym garniturze, z papierosem w zębach, oczy mu błyszczały w cieniu szerokiego ronda kapelusza. — Co to było o tym chlebie i maśle, Weybridge? Narzekasz jak zwykle na niewystarczające uposażenie oficerów marynarki? Za niecałą dobę wyruszam. Musimy już dziś przygotować strop. To czyste niebo i mała fala jak najbardziej się nadają do zanurzenia kilkunastu ton stali i ołowiu, prawda?

— Panu i tak wszystko jedno — stwierdził Weybridge.

— Pewnie. Siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt stóp w głąb, a powinienem je przebyć w jakieś dziesięć sekund, i już ani cząsteczka nie będzie się ruszała, choćby na górze wiatr wył do zachrypnięcia, a woda tryskała pod chmury... Nie, tam na dole jest... — Ruszył ku burcie okrętu, a tamci dwaj poszli za nim. Wszyscy trzej oparli się na łokciach i patrzyli w dół na żółtozieloną wodę.

— ...spokój — powiedział Elstead, jakby kończąc na głos swą myśl.

— Czy naprawdę ma pan pewność, że ten mechanizm zegarowy będzie działał? — spytał teraz Weybridge.

— Nie zawiódł trzydzieści pięć razy — odparł Elstead. — Musi działać.

— A jeśli nie?

— A dlaczego nie?

— Nie zanurzyłbym się w tej wariackiej kuli — oznajmił Weybridge — nawet za dwadzieścia tysięcy funtów.

— Wesoly z ciebie chłopak — odparł Elstead i obojętnie splunął w spienioną wodę.

— Nie rozumiem, jak pan zamierza tym kierować — odezwał się Steevens.

— Najpierw zaśrubuj mnie w tej batysferze — zaczął Elstead — a kiedy trzy razy włączę i wyłączę światło, na znak, że jest mi fajno, dźwig przeniesie mnie za burtę razem z tymi ciężkimi ołowianymi balastami, które będą wisały pode mną. Główny balast wyposażyliśmy w szpulę ze stoma sążniami mocnej linki i tylko ona łączy balasty z batysferą, z wyjątkiem stropu, który się przetnie po opuszczeniu całego urządzenia do wody. Zastosowaliśmy zwykłą linę, a nie stalową, ponieważ łatwiej ją przeciąć, a ponadto nie tonie, co ma, jak później zobaczycie, istotne znaczenie.

Zwróćcie uwagę, że w każdym z tych ołowianych ciężarów znajduje się otwór, w który wsunie się żelazny trzpień, tak by wystawał w dolnej części na sześć stóp. Gdy trzpień uderzy o coś w dole, przesunie dźwignię i uruchomi mechanizm zegarowy przy szpuli nawijającej linę.

No pięknie... Cały aparat opuszcza się na powierzchnię wody i przecina strop. Kula dryfuje... z powietrzem w środku jest lżejsza od wody... ale ołowiane balasty opadają prosto w dół i linka się rozwija. Kiedy całkowicie się rozkręci, kula również zacznie się zanurzać, bo linka pociągnie ją za sobą.

— Ale po co ta linka? — spytał Sleeve. — Przecież balasty można przymocować bezpośrednio do kuli?

— Ze względu na wstrząs na dnie. Cały aparat będzie pędził w dół, mila po mili, pod koniec z wielką szybkością. Roztrzaskałby się w kawałki, gdyby nie ta lina. Ale gdyby balasty uderzyły bezpośrednio w dno, wtedy kula odzyskałaby swą pływalność. Opadałaby coraz wolniej, potem stanęła i znowu zaczęła się wynurzać.

I dlatego potrzebne jest urządzenie zegarowe. Gdy tylko balasty trafią w dno morskie, sworzeń zostanie wciśnięty i uruchomi urządzenie zegarowe, a linka zacznie się nawijać na szpulę. W ten sposób ściągnę mnie na dno oceanu. Tam pozostanę przez pół godziny, włączę światło i będę się rozglądał dookoła. Potem urządzenie zegarowe zwolni nóż sprężynowy, który przetnie linę, a ja znowu wyskoczę w górę jak bąbelek w wodzie sodowej. Lina przyczyni się do ustabilizowania dryfu.

— A jeśli przypadkowo trafi pan w jakiś statek? — zapytał Weybridge.  
— Będę pędził z taką prędkością, że przebiłbym go na wylot — powiedział Elstead. — Jak kulka armatnia. Niech się pan o to nie martwi.  
— Ale przypuśćmy, że jakiś mały skorupiak wkręci się w pańskie urządzenie zegarowe...  
— Byłoby to dla mnie nie dające się odrzucić zaproszenie do pozostania — odparł Elstead zwracając się tyłem do wody i wpatrując się w batysferę.

Elsteada przerzucono za burtę o godzinie jedenastej. Dzień był bardzo spokojny i pogodny, horyzont zasnuwała mgiełka. Światło elektryczne w górnym przedziale błysnęło wesoło trzy razy. Potem kulę opuszczono powoli na powierzchnię wody, a jakiś marynarz uczepony łańcuchów na rufie był gotów do przecięcia lin, które owijały kulę wraz z balastami. Batysfera, która wyglądała na tak wielką na pokładzie, stała się ledwie dostrzegalną drobiną za rufą okrętu. Kołysała się nieco, a jej dwa ciemne okienka, wystające nad powierzchnię morza, wyglądały jak para oczu patrzących ze szczerym zdumieniem na ludzi stłoczonych przy relingu. Ktoś zastanawiał się, jak Elstead znosi taką chwiejbę.

— Gotowe? — przeciągając sylaby zapytał kapitan.  
— Ay, ay, sir!  
— Jazda!

Strop napiął się pod ostrzem i został przecięty, wir wody przetoczył się nad kulą w groteskowo bezwładny sposób. Ktoś powiewał chusteczką, ktoś niemrawo próbował wznieść okrzyk pożegnalny, midszypmen liczył powoli: — Osiem, dziewięć, dziesięć! — Batysfera zakręciła się znowu, a potem z nagłym szarpnięciem i pluskiem wyprostowała się.

Przez chwilę jakby znieruchomiała, zmniejszyła się gwałtownie i morze zamknęło się nad nią, teraz widać ją było pod powierzchnią, wskutek odbłasku wody stała się większa i niewyraźna. Zniknęła, zanim ktoś zdołałby doliczyć do trzech. W głębi zamigotało białe światło, skurczyło się do rozmiarów niewielkiej plamki i znikło. Potem nie było już nic, tylko toń wody przechodząca w czerń, przez którą przepłynął rekin.

Niespodziewanie śruba okrętu zaczęła się obracać, woda zmarszczyła się, rekin zniknął w skłębionym chaosie, a strumień piany przeciął krystaliczną jasność, która wchłonęła Elsteada.

— A to co znowu? — spytał jakiś marynarz.  
— Odchodzimy, by stanąć na kotwicy dwie mile stąd — wyjaśnił jego kolega. — Mamy stracha, że mógłby w nas trafić, gdy się będzie wynurzał.  
Okręt popłynął wolno na nową pozycję. Niemal wszyscy wolni od zajęć ludzie pozostali na pokładzie, obserwując sfalowaną toń. Wątpliwe, czy przez następne pół godziny wypowiedziano choć jedno słowo, które nie odnosiłoby się bezpośrednio lub pośrednio do Elsteada. Grudniowe słońce stało teraz wysoko na niebie, było dość gorąco.

— Zmarznie tam na dole — powiedział Weybridge. — Podobno na pewnej głębokości woda morska jest bliska punktu zamarzania.

— Gdzie się wynurzy? — zapytał Steevens. — Straciłem orientację.  
— W tamtym miejscu — odparł kapitan, który lubił chwalić się swą wszechwiedzą. Wskazał palcem w kierunku południowo-wschodnim. — I to lada chwila. — Minęło trzydzieści pięć minut.

— Ile czasu trzeba do osiągnięcia dna oceanu? — zadał nowe pytanie Steevens.  
— Przy głębokości pięciu mil, przyjmując przyśpieszenie rzędu dwóch stóp na sekundę w obie strony, trwa to około trzech czwartych minuty.  
— Więc ma już opóźnienie — stwierdził Weybridge.  
— Niekoniecznie — zaprzeczył kapitan. — Przypuszczam, że potrzeba kilku minut, by ta jego linka się nawinęła.  
— Zapomniałem o tym — rzekł Weybridge z widoczną ulgą.

A potem zaczęły się chwile napięcia. Minuta powoli upłynęła, a kula nie wyskakiwała z wody. Minęła druga i nic nie przerywało oleistej gładzi morza. Marynarze wyjaśniali jeden drugiemu ten drobny szczegół z nawijaniem liny. Wanty upstrzone były oczekującymi twarzami. — Wyłaż, Elstead! — niecierpliwie wołał jeden z wilków morskich o owłosionej piersi, a inni podchwycili to i zaczęli skandować, jakby czekali na podniesienie kurtyny w teatrze.

Kapitan spojrział na nich z irytacją. — Oczywiście, jeśli przyspieszenie wynosi mniej niż dwie stopy — powiedział — Elstead posiedzi dłużej. Nie mamy całkowitej pewności, że ta liczba jest dokładna. Nie należę do niewolników wiary w liczby.

Steevens przytaknął. Przez parę minut na pomoście nikt się nie odzywał. Potem szczęknęła koperta zegarka Steevensa.

Kiedy dwadzieścia jeden minut później słońce sięgnęło zenitu, nadal czekali na pojawienie się batysfery i ani jeden człowiek na pokładzie nie ośmielił się szepnąć, że nie ma już nadziei. Pierwszy wyraził to głośno Weybridge. Odezwał się, gdy pogłos ośmiu „szklanek” jeszcze wisiał w powietrzu: — Nigdy nie miałem przekonania do tego okna — powiedział nagle do Steevensa.

— Na miłość boską! — wykrzyknął Steevens. — Pan chyba nie myśli...

— Hm! — burknął Weybridge, pozostawiając dalszy ciąg wyobraźni swego rozmówcy.

— Ja niezbyt wierzę w obliczenia matematyczne — powiedział z powątpiewaniem kapitan — więc nie straciłem jeszcze nadziei.

O północy kanonierka nadal krążyła wokół miejsca, gdzie zatonąła kula, a biały promień reflektora leciał, zatrzymywał się i omiatał bez przerwy przestwór fosforyzujących wód pod gwiazdzistym niebem.

— Jeśli to jego okno nie pękło i ciśnienie go nie zmiażdżyło — zaczął Weybridge — to, u diabła, jeszcze gorzej, bo się popsuł mechanizm zegarowy, a Elstead jest teraz żywy, pięć mil pod nami, w zimnie i ciemnościach, zakotwiczony w tej swojej banieczce, tam gdzie nigdy nie dotarł promień słońca ani nie żyła żadna istota ludzka, od czasu gdy wody się zebrały. Siedzi tam bez jedzenia, głodny i spragniony, i rozmyśla, czy umrze z głodu, czy się zadusi. No właśnie, co go czeka? Przypuszczam, że aparat Myersa się wyczerpuje. Na jak długo starczy?

— Wielki Boże! — wykrzyknął. — Jakimiż jesteśmy karzełkami! Zuchwałymi diabłkami! Tam w dole... mile wody... Nic, tylko woda... I ta cała pustynia wodna wokół nas i to niebo! Otchłanie!

Podniósł ręce i w tej właśnie chwili wątpa biała smuga przemknęła bezszelestnie po niebie, zwolniła, zatrzymała się, stała się nieruchomą kropką, jakby nowa gwiazda wpadła na niebo. A następnie zaczęła wolno ześlizgiwać się z powrotem i rozplynęła się wśród refleksów gwiazd i białej mgły fosforyzującego morza.

Na ten widok Weybridge zastygł z podniesionym ramieniem i otwartymi ustami. Zaniknął usta, otworzył je znowu i gorączkowo zamachał rękami. Potem odwrócił się, krzyknął: — Elstead, ahoy! — do wachtowego i popędził do Lindleya i reflektora. — Widziałem go — zawołał. — Z prawej burty! Ma zapalone światła i tylko co wyrzuciło go z wody. Obróćcie reflektor! Powinniście zobaczyć, jak dryfuje, gdy się podniesie na grzbiecie fali.

Ale nie wyciągnęli badacza aż do świtu. O mało na niego nie wpadli. Wysunięto ramię dźwigu i załoga łodzi uczepiła łańcuch do batysfery. Gdy wyciągnęli ją na pokład, odśrubowali wąż i zajrzeli do ciemnego wnętrza (albowiem przedział z reflektorem miał na celu oświetlanie wody wokół batysfery i był całkowicie odcięty od pomieszczenia dla samego Elsteda).

Powietrze w kuli było bardzo gorące, a guma wokół wążu rozmiękła. Nie usłyszeli odpowiedzi na ich niecierpliwie pytania ani jakiegokolwiek szelestu wewnątrz. Wyglądało na to, że Elstead leży skulony bez ruchu na dnie swej kajutki. Lekarz okrętowy wpełznął do

środka i pomógł go wyciągnąć ludziom stojącym na zewnątrz. Przez parę chwil nie wiedzieli, czy badacz głębin jest żywy, czy martwy. W żółtym świetle latarni okrętowych twarz mu błyszczała od potu. Zanieśli go do kabiny.

Okazało się, że nie umarł, lecz znajdował się w stanie zupełnego wyczerpania nerwowego, a poza tym był okrutnie potłuczony. Przez kilka dni musiał leżeć bez ruchu. Minął tydzień, zanim mógł opowiedzieć o swych przeżyciach.

Niemal w pierwszych słowach oznajmił, że powtórzy swą wyprawę na dno oceanu. Powiedział, że batysferę należy zmienić w ten sposób, by w miarę potrzeby mógł odłączyć linę. Miał wspaniałe przeżycie. — Myśleliście, że nie znajdę nic poza mułem — powiedział. — Śmieliście się z moich badań, a ja wykryłem nowy świat...

Opowiadał urywkami bez ładu i składu i często zaczynał od końca, tak że nie da się powtórzyć tej relacji dosłownie. Ale to, co dalej nastąpi, stanowi zasadniczą treść jego opowieści.

Mówił, że wszystko zaczęło się paskudnie. Zanim linka się rozwinęła, cały aparat obracał się wokół własnej osi. Elstead czuł się jak żaba w piłce futbolowej. Nic nie widział poza dźwigiem i niebem nad głową, a od czasu do czasu migali mu ludzie przy relingu. Nie miał pojęcia, w którą stronę kula się potoczy za następnym obrotem. Nagle stwierdził, że nogi unoszą mu się same, próbował zrobić krok i wywijał koziołka, głową w przód lub na odwrót, na wyściółce komory. Każdy inny jej kształt byłby wygodniejszy, lecz na żadnym innym kształcie nie można było polegać pod olbrzymim ciśnieniem otchłani.

Nagle ruch obrotowy ustał; kula ustabilizowała się, a kiedy się pozbierał, zobaczył wokół siebie tylko zielonkawoniebieską wodę. Przyćmione światło sączyło się z góry, a stado małych pływających istotek przemknęło obok, jak mu się zdawało — ku światłu. A gdy tak patrzył, robiło się coraz ciemniej, aż woda nad nim stała się czarna jak niebo o północy, jednak z bardziej zielonkawym odcieniem, a woda w dole — zupełnie czarna. Małe przezroczyste stwory lekko fosforyzowały i przelatowały za szkłem okienka jak delikatne zielonkawe smugi.

I to wrażenie spadania! Zupełnie tak, jak w ruszającej w dół windzie, z tą różnicą, że trwało długo. Trzeba sobie wyobrazić, co oznacza to „trwało”. Wtedy po raz pierwszy i jedyny Elstead żałował swojej decyzji. W całkiem innym świetle ujrzał grożące mu niebezpieczeństwa. Pomyślał o wielkich ośmiornicach, o których wiadomo, że żyją na średnich głębokościach, bo znajdowano je na pół strawione w żołądkach wielorybów albo dryfujące na powierzchni morza, martwe i zgniłe, i na pół pożarte przez ryby. Przypuśćmy, że taka ośmiornica się przyczepi i nie puści... Czy to urządzenie zegarowe naprawdę dokładnie sprawdzono? Ale to, czy miał ochotę zanurzać się dalej, czy wracać, nie miało teraz najmniejszego znaczenia.

Po pięćdziesięciu sekundach za oknem wszystko stało się czarne jak noc, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie smuga światła przebijała wodę, ujawniając od czasu do czasu jakąś rybę lub strzępek tonącej materii, ale to wszystko przelatowało zbyt szybko, by mógł dokładnie rozpoznać, co to takiego. Wydawało mu się, że mijał rekina. I nagle batysfera zaczęła się rozgrzewać wskutek tarcia wody. Niestety, nie docenił tego zjawiska wcześniej.

Elstead stwierdził najpierw, że się poci, a potem usłyszał coraz głośniejsze syczenie pod stopami i zobaczył mnóstwo pęcherzyków — bardzo małych bąbelków — unoszących się wachlarzowato w wodzie za oknem. Para! Pomacał szybę i poczuł, że jest gorąca. Natychmiast wyłączył lampę, która oświetlała jego kabinę, spojrzął na zegarek umieszczony w poduszce przy dźwigniach i stwierdził, że podróżuje już dwie minuty. Przyszło mu do głowy, że okno pęknie wskutek kontrastu temperatur, ponieważ wiedział, że woda denna jest lodowata.

Nagle wydało mu się, że podłoga batysfery uciska mu stopy, potok pęcherzyków płynął coraz wolniej, a syczenie przycichło. Kula trochę się chwiała. Okno nie pękło, nic się nie zepsuło, i wiedział już, że niebezpieczeństwo minęło.

Mniej więcej w następnej minucie stanął na dnie otchłani. Opowiadał, że pomyślał wtedy o Steevensie i Weybridge'u, odległych o pięć mil wody nad jego głową, czyli wyżej niż najwyższe chmury, jakie kiedykolwiek płynęły nad ziemią, o ludziach, którzy stoją na pokładzie krążącego wolno okrętu, patrzą w dół i próbują odgadnąć, co się z nim dzieje.

Spojrzał przez okienko. Pęcherzyki zniknęły, syczenie ustało. Na zewnątrz panowała gęsta czerń — czarna jak czarny aksamit — z wyjątkiem miejsca, gdzie światło przenikało przez wodę i ukazywało jej bladozieloną barwę. A wtedy jakieś trzy ogniste stwory podpłynęły jeden za drugim w pole widzenia. Nie potrafiłby określić, czy były małe i blisko, czy duże i daleko.

Każda sylwetka była obramowana błękitnawym, jakby mocno dymiącym światłem, niemal tak jasnym jak światła rybackiego kutra, a po obu jej bokach błyskały jasne plamki, zupełnie jak iluminatory statku. Ich fosforescencja chyba znikła, gdy znalazły się w zasięgu reflektora, i wtedy zobaczył, że są to małe ryby jakiegoś dziwnego gatunku, z wielkimi głowami, dużymi oczyma i niewielkimi tułowiami i ogonami. Patrzyły na niego i spostrzegł, że mu towarzyszą płynąc w dół. Zapewne przyciągało je światło. Przyłączyły do nich jakieś inne ryby tego samego gatunku.

Opadając niżej dostrzegł, że woda nabrała bladej barwy, a w smudze światła migotały jakieś cząsteczki, zupełnie jak muszki w promieniu słońca. Prawdopodobnie był to muł poruszony przez ołowiane balasty.

Gdy dotarł już do balastów, znalazł się w gęstej mgłę, której reflektor nie mógł przebić dalej niż na kilka jardów i minęło wiele minut, zanim te wiszące zasłony mułu nieco opadły. Wtedy w blasku reflektora i migotliwej fosforescencji odległej ławicy ryb zdołał rozróżnić w gęstej czerni całkiem nieprzeniknionej wody sfalowaną przestrzeń szarobiałej zawiesiny, przerywanej tu i ówdzie splątaną gęstwiną liliowców, powiewających zgłodniałymi czułkami.

Nieco dalej dostrzegł wdzięczny przeświecający zarys kolonii gigantycznych gąbek. Na tym samym poziomie pojawiły się rozproszone grupki błyszczących, płaskawych, purpurowo-czarnych kępek, które, jak stwierdził, musiały być jakąś odmianą morskich jeży, oraz małe, wielkookie albo ślepe istotki, dziwnie podobne do stonóg, a jeszcze inne — do homarów. Pełzały niezdarne w smudze światła i zniknęły znowu w ciemności, zostawiając za sobą zmarszczony ślad.

Niespodzianie kręcący się w pobliżu rój rybek zmienił kierunek i ruszył ku Elsteadowi jak stado szpaków. Przeleciały nad nim jak fosforyzujący śnieg, a potem zobaczył za nimi jakieś większe stworzenie, które zbliżało się do batysfery.

Najpierw widział tylko niewyraźny ruchomy kształt, nieco przypominający sylwetkę idącego człowieka, później stworzenie weszło w smugę światła reflektora. Oślepienie blaskiem zamknęło oczy. Elstead patrzył jak skamieniały ze zdumienia.

Był to dziwny kręgowiec. Jego ciemnopurpurowa głowa nieco przypominała łepkę kameleona, ale żaden ze znanych dotychczas gadów nie miał tak wysokiego czoła i takiej czaszki. Pionowe osadzenie głowy nadawało mu wprost niezwykle podobieństwo do człowieka.

Dwoje dużych i wypukłych oczu wystawało z oczodołów jak u kameleona, miał szeroką gądzia paszczę z rogowatymi wargami pod niewielkim nosem. W miejscu uszu znajdowały się dwie olbrzymie pokrywy skrzelowe, spod których wyrastały rozgałęzione krzewy koralowych włókien, niemal takich jak drzewopodobne skrzela młodych płaszczyk i rekinów.

Ale ludzki wygląd twarzy nie stanowił najbardziej zdumiewającej cechy tego stworzenia. Było dwunożne: jego niemal kuliste ciało opierało się na trójnogu dwóch żabich łap i długiego grubego ogona, a przednie łapy, które groteskowo karykaturowały ludzką rękę,

trzymały długą kość zakończoną miedzianym ostrzem. Było różnobarwne: głowę, ręce i nogi miało purpurowe, ale jego skóra, zwisająca luźno jak ubranie, była fosforyzujące szara. I tak stało oślepienie światłem.

Wreszcie zamrugało powiekami, otworzyło oczy i osłaniając je wolną ręką, krzyknęło niemal ludzkim głosem, który przeniknął nawet stalowe ściany i wewnętrzną wyściółkę batysfery. Jak można krzyczeć bez płuc, Elstead nie potrafił wytłumaczyć. Następnie wyszło bokiem z zasięgu światła, a Elstead wyczuł raczej niż zobaczył, że się ku niemu zbliża. Myśląc, że przyciąga je światło, wyłączył prąd. W następnej chwili coś stuknęło w stal, a kula poruszyła się.

Potem znowu rozległ się krzyk i chyba odpowiedziało mu odległe echo. Stukanie powtórzyło się, a batysfera się zakołysała i osiadła na szpuli z nawiniętą liną. Elstead stał w ciemności i patrzył w wiecznotrwałą noc otchłani. I teraz zobaczył bardzo słabo i w znacznej odległości inne fosforyzujące niby-ludzkie istoty, które zbliżały się szybko.

Niemal nie zdając sobie sprawy, co robi, zaczął w swym pływającym więzieniu wymacywać kontakt do zewnętrznego reflektora i przypadkowo trafił na swoją małą lampę w wyściełanej wnęce. Kula obróciła się i Elstead upadł. Usłyszał okrzyki, podobne do okrzyków zdumienia, a gdy wstał, zobaczył dwie pary wyłupiastych oczu zaglądających do niższego okienka, i odbijających światło. W następnej chwili jakieś dłonie zaczęły stukać z wigorem w stalową powłokę i dał się słyszeć straszliwy w tej sytuacji dźwięk: ktoś silnie tłukł w metalową osłonę mechanizmu zegarowego. Elsteadowi serce podeszło do gardła, bo jeśli tym niesamowitym stworom udałoby się zatrzymać mechanizm, nigdy już nie zdołałby wrócić na powierzchnię. Ledwie zdążył o tym pomyśleć, gdy poczuł, że batysfera chwieje się gwałtownie, a podłoga ciśnie na jego stopy. Wyłączył lampkę, która oświetlała jego przedział i oświetlił wodę silnym światłem zewnętrznego reflektora. Dno morza i podobne do ludzi stworzenia zniknęły, a parę goniących się rybek przemknęło nagle koło okna.

Najpierw pomyślał, że ci dziwni tubylcy z głębin oceanu przerwali linę i że udało mu się wymknąć. Leciał w górę coraz szybciej, lecz raptem zatrzymał się z szarpnięciem, które rzuciło nim na wyściełany sufit jego więzienia. Przez jakieś pół minuty był zbyt zdumiony, by o czymkolwiek myśleć.

Potem poczuł, że batysfera obraca się wolno i kołysze, i wydało mu się, że coś ją ściąga. Przycupnąwszy koło okienka zdołał ciężarem swego ciała obrócić kulę szybko w dół, lecz nic nie zdołał rozróżnić poza bladym promieniem światła, który bezskutecznie gubił się w mroku. Przyszło mu do głowy, że będzie widział lepiej, jeśli wyłączy reflektor i przyzwyczai oczy do gęstej ciemności.

W tym wypadku miał rację. Po kilku minutach aksamitna ciemność stała się przezroczysta, a potem, w dużej odległości i tak słabe jak zodiakalne światło wieczorne angielskiego lata, zobaczył poruszające się w dole sylwetki. Zrozumiał, że te istoty odczepiły linę i holują go nad dnem morza. A następnie ujrzał coś niewyraźnego i odległego za sfalowaną podmorską równiną — szeroką przestrzeń bladej poświaty, która rozciągała się tak szeroko, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem ze swego okienka. Holowano go w tamtym kierunku, tak jak ludzie mogliby holować balon z pola do miasta. Zbliżał się tam bardzo powoli i równie powoli mętna poświata zagęszczała się w bardziej określone kształty.

Była prawie piąta, gdy go przyciągnięto do tej świecącej przestrzeni i wtedy zdołał rozróżnić coś w rodzaju miasta składającego się z niby-ulic i domów zgrupowanych wokół ogromnej pozbawionej dachu budowli, która dziwnie przypominała ruinę jakiegoś opactwa. Wszystko to rozciągało się jak jakaś mapa za okienkiem batysfery. Zresztą wszystkie domy nie miały dachów, tylko same ściany, a zbudowano je, jak potem spostrzegł, z fosforyzujących kości, co sprawiało wrażenie, jakby były z zatopionego w morzu księżycowego blasku.

W zagłębieniach terenu falujące drzewa liliowców rozpościerały swe macki, a wysokie, smukłe, szkliste gąbki wystrzeliwały w górę jak błyszczące minarety i kwiaty z mglistego światła spośród ogólnej fosforescencji miasta. Na otwartych przestrzeniach dostrzegał duży ruch jakby tłumów ludzi, lecz znajdował się zbyt wysoko, by rozróżnić poszczególne jednostki w tej ciżbie.

Wreszcie zaczęto powoli go ściągać, a w trakcie tego stopniowo rozpoznawał szczegóły miasta. Widział, że zarysy mglistych budynków były oznaczone paciorkowatymi liniami jakichś okrągłych przedmiotów, a potem spostrzegł, że w kilku punktach pod nim znajdowały się konstrukcje podobne do obrośniętych muszlami okrętów.

Nadal ostrożnie, lecz zdecydowanie ciągnięto go w dół, a kształty na dnie stawały się jaśniejsze, bardziej konkretne. Zauważył, że zbliża się do wielkiej budowli w centrum miasta i coraz częściej miał możliwość rzucić okiem na tłum ciągnący linę. Zdumiał się, widząc, że pokład jakiegoś statku, który swym wyglądem odcinał się bardzo od otoczenia, wprost się roi od gapiących się na batysferę i gestykulujących osobników. Potem ściany wielkiego gmachu wyrosły cicho wokół kuli Elsteada i zasłoniły mu miasto.

Ściany wzniesiono z zatopionego drewna, skręconych lin stalowych, żelaznych belek, miedzianych blach i czaszek martwych ludzi. Czaszki ułożono w linie zygzakowate, spirale i fantastyczne łuki na całej budowli, a w oczodołach, podobnie zresztą jak wszędzie, igrały stada srebrzystych rybek.

Nagle do uszu Elsteada dobiegły stłumione okrzyki i hałas przypominający gwałtowne dęcie w rogi myśliwskie, a potem zabrzmiała jakaś niesamowita pieśń. Kula opadała coraz niżej, obok olbrzymich okien, przez które niewyraźnie widział wpatrujący się w niego tłum tych upiornych stworzeń, i wreszcie zatrzymał się przy czymś w rodzaju ołtarza wzniesionego pośrodku gmachu.

Teraz był na takim poziomie, że mógł jeszcze raz dokładnie obejrzeć tych cudacznych ludzi z otchłani. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że wszyscy padli przed nim na twarz, z wyjątkiem jednego, który miał na sobie coś w rodzaju szaty z płytkowatych łusek i świetlisty diadem na głowie. Stał otwierając swą gadzią paszczę i krzycząc, jakby był celebrazem całego nabożeństwa. Pod wpływem dziwnego impulsu Elstead ponownie włączył swą małą lampę, tak że wszystkie te stwory głębinowe mogły go zobaczyć, jakkolwiek oślepiiony blaskiem sam przestał je widzieć. Gdy się tak niespodzianie ukazał, śpiew przekształcił się w ekstatyczne okrzyki, a Elstead chcąc się zorientować, co się dzieje, wyłączył światło i zniknął im sprzed oczu. Ale przez pewien czas niczego nie mógł rozróżnić, a gdy wreszcie wzrok przyzwyczał mu się do ciemności, stwierdził, że wszyscy znowu klęczą. W ten sposób czczono go bez odpoczynku i bez przerwy w ciągu czterech godzin.

Elstead bardzo szczegółowo opowiadał o tym zdumiewającym mieście i jego mieszkańcach, mieszkańcach wiecznej nocy, którzy nigdy nie widzieli słońca, księżyca ani gwiazd, zielonej roślinności ani żywych istot oddychających powietrzem, którzy nic nie wiedzą o ogniu ani jakimkolwiek świetle poza luminescencją żywych stworzeń.

Jakkolwiek zaskakująca wydaje się jego opowieść, jeszcze bardziej zaskakujący jest fakt, że ludzie nauki o takim autorytecie jak Adams czy Jenkins nie znajdują w niej niczego nieprawdopodobnego. Mówią mi, że nie widzą powodu, dla którego inteligentne, oddychające wodą kręgowce, przystosowane do niskiej temperatury i potwornego ciśnienia, i tak ciężkie, że ani żywe, ani martwe, nie mogą pływać, istoty pochodzące podobnie jak my od wielkich gadów z epoki Nowego Czerwonego Piaskowca, nie mogłyby żyć na dnie oceanu, chociaż tego nie przypuszczaliśmy.

Nas jednak muszą znać jako dziwne meteoryczne stworzenia, które wskutek jakichś katastrof spadają martwe z tajemniczej czerni ich wodnego nieba. I nie tylko nas samych, lecz również nasze statki, nasze metale, nasze urządzenia, które sypią się z mroków nocy. Niekiedy tonące przedmioty powalają ich i miażdżą, jak gdyby z wyroku jakiejś niewidzialnej

siły w górze, a niekiedy zsyłają rzeczy niezwykle rzadkie czy niezwykle użyteczne albo wyroby stanowiące inspirację do nowych pomysłów. Możemy poniekąd zrozumieć ich reakcję na to zstąpienie żywego człowieka, jeśli się pomyśli, co zrobiłby jakiś barbarzyński szczep, do którego spłynęłaby z nieba taka świecąca istota w aureoli.

Elstead przy różnych okazjach zapewne opowiadał oficerom „Ptarmigana” wszystkie szczegóły swych niesamowitych dwunastu godzin w otchłani. Wiadomo również, że zamierzał je spisać, lecz nigdy tego nie zrobił i niestety musimy składać razem pełne sprzeczności urywki jego przeżyć z tego, co zapamiętał kapitan Simons, Weybridge, Steevens, Lindley i inni. Tak więc widzimy obraz niejasny i fragmentaryczny — olbrzymią upiorną budowlę, bijących pokłony, rozśpiewanych ludzi o ciemnych kameleonich głowach i w lekko świecących szatach, i Elsteada, który znowu włączył światło, na próżno usiłując dać im do zrozumienia, że należy przeciąć linę przytrzymującą kulę. Upływała minuta po minucie, a Elstead patrząc na zegarek stwierdził ze zgrozą, że wystarczy mu tlenu tylko na cztery godziny. Lecz śpiewy na jego cześć trwały tak bezlitośnie, jakby to była pieśń marszowa nadchodzącej śmierci.

Nie wiedział, w jaki sposób się uwolnił, sądząc jednak z końca liny, po prostu przetarła się ona o krawędź ołtarza. Nagle kula obróciła się i popłynął w górę, uciekając z ich świata, tak jak istota z kosmosu, otoczona próżnią, popłynęłaby przez naszą atmosferę, wracając do swego ojczyzstego eteru. Zniknął im z oczu jak bąbelek wodoru, który wznosi się w powietrzu. Dla nich musiało to wyglądać na cudowne wniebowstąpienie.

Kula pędziła w górę z jeszcze większą szybkością niż wtedy, gdy ściągana przez ołowiane ciężary spadała w dół. Rozgrzała się straszliwie. Wznosiła się okienkami do góry, a Elstead wspominał potem strumień pęcherzyków pieniających się na szkle. W każdej chwili oczekiwał, że szkło się rozsypie. Potem nagle w jego głowie zaczęło się kręcić jakieś ogromne koło, wyściełana komora poczęła wirować wokół niego. Zemdlął. Następne wspomnienia miał dopiero ze swej kabiny na okręcie, od chwili gdy usłyszał głos lekarza. Taka jest treść niezwyklej opowieści, jaką Elstead przekazał urywkami oficerom „Ptarmigana”. Obiecywał spisać to wszystko później. Zajmował się głównie ulepszeniami swego aparatu, jakich dokonano w Rio.

Pozostało tylko powiedzieć, że 2 lutego 1896 roku zanurzył się po raz drugi w otchłań oceanu, wprowadzając udoskonalenia wynikające z poprzednich doświadczeń. Prawdopodobnie nigdy nie będziemy wiedzieli, co się zdarzyło. Elstead nie wrócił. „Ptarmigan” krążył wokół punktu jego zanurzenia, czekając bezskutecznie przez trzynaście dni. Potem okręt wrócił do Rio, a wiadomość przetelegrafowano do przyjaciół Elsteada. Tak na razie wygląda cała sprawa. Trudno jednak przypuszczać, że ktoś nie podejmie próby zweryfikowania jego niesamowitej opowieści o tych miastach w głębinie, których istnienia dotąd nie podejrzewaliśmy.

# ATAK Z GŁĘBINY

## I

Aż do czasu niesamowitego zdarzenia w Sidmouth uczeni znali ów szczególny gatunek *Haploteuthis ferax* tylko ogólnie, na podstawie na pół zjedzonej macki wyłowionej koło Azorów i gnijącego ciała, oskubanego przez ptaki i obgryzionego przez ryby, które w początkach 1896 roku pan Jennings znalazł w pobliżu Land's End.

W żadnym dziale wiedzy zoologicznej nie błędzimy tak po omacku jak w odniesieniu do głowonogów głębinowych. Na przykład czysty przypadek sprawił, że w lecie 1895 roku książę Monaco wykrył tuzin nowych odmian, wśród których znajdowała się wspomniana macka. Zdarzyło się, że jacyś wielorybnicy upolowali kaszalota koło Terceiry, a ten ostatnim wysiłkiem niemal zaszarżował na jacht księcia, nie trafił, przetoczył się pod nim i zdechł jakieś dwadzieścia jardów od steru statku. W agonii wyrzucił pewną liczbę dużych okazów, które książę, wyczuwając instynktownie, że są niezwykle i ważne, szczęśliwym przypadkiem zdołał uchronić przed zatonięciem. Uruchomił śruby jachtu i utrzymywał dostrzeżone obiekty w wirach, aż do chwili, gdy zdołano spuścić łódź. Tymi obiektami były całe głowonogi lub ich części, niektóre gigantycznych rozmiarów, a prawie wszystkie nie znane nauce!

Wydawałoby się, że te wielkie i ruchliwe stworzenia, żyjące na średnich głębokościach mórz, muszą w znacznym stopniu pozostać dla nas tajemnicą, albowiem pod wodą są zbyt zwinne, by wpaść w sieci, a tylko w rzadkich, nie dających się przewidzieć wypadkach można uzyskać jakieś okazy. Na przykład, jeśli chodzi o *Haploteuthis ferax*, nadal nic nie wiemy o jej siedliskach, podobnie jak pozostajemy ignorantami w sprawie miejsc wylęgu śledzia czy też morskich dróg łososia. A zoologowie w ogóle nie potrafią wyjaśnić przyczyny nagłego pojawienia się głowonogów u naszych brzegów. Możliwe, że to konieczność migracji głodowej przypędziła je tu z głębin. Chyba jednak lepiej zrezygnować z tak czy inaczej bezplodnej dyskusji i rozpocząć wreszcie naszą relację.

Pierwszym człowiekiem, który na własne oczy zobaczył żyjącą *Haploteuthis* — pierwszym, który pozostał żywy, bo obecnie nie może być wielu wątpliwości co do przyczyny serii śmiertelnych wypadków podczas kąpieli i zatonięć łodzi wzdłuż brzegów Kornwalii i Devonu w początkach maja — był emerytowany sprzedawca herbaty nazwiskiem Fison, zamieszkały czasowo w pensjonacie w Sidmouth. Pewnego popołudnia spacerował po skalnej ścieżce między Sidmouth i Ladram Bay. Klif jest w tym miejscu bardzo wysoki, lecz na jego czerwonym licu zrobiono w jednym miejscu coś w rodzaju drabiny z poręczami. Fison znajdował się niedaleko od tego miejsca, gdy jego uwagę zwróciło coś, co najpierw wziął za stado ptaków, walczących o kawał czegoś jadalnego, co odbijało światło słoneczne i połyskiwało bladoróżowo. Był właśnie odpływ, a to coś znajdowało się nie tylko głęboko pod Fisonem, lecz również za szerokim przestworem raf pokrytych ciemnymi wodorostami i błyszczących srebrzyście poodpływowych rozlewisk. A ponadto Fisona oślepił blask cofającego się morza.

Po paru chwilach spojrzawszy znowu zrozumiał, że popełnił omyłkę, albowiem nad tym, co kotłowało się na ziemi, krążyła pewna liczba ptaków, przeważnie kawek i mew, przy czym mewy błyskały oślepiająco, gdy słońce muskało ich skrzydła. Ptaki wydawały się maleńkie w porównaniu z tą masą na dole. Prawdopodobnie ciekawość Fisona wzmogła się jeszcze, gdy stwierdził, że jego pierwsze przypuszczenia były mylne. Ponieważ nie miał nic lepszego do roboty jak szukać jakiejś rozrywki, postanowił zamiast na popołudniowy spacer do Ladram Bay pójść do tego dziwnego zjawiska na dole, przypuszczając, że może to być jakiegoś rodzaju wielka ryba, wyrzucona przypadkiem na płyciznę i trzepocząca się w męce. Zaczął

więc szybko schodzić po długiej drabinie, zatrzymując się mniej więcej co trzydzieści stóp, by trochę odsapnąć i poobserwować tajemnicze zamieszanie.

Od podnóża klifu było oczywiście bliżej do spostrzeżonego obiektu, lecz — z drugiej strony — miał go teraz na tle rozjarzonego nieba i pod słońce, tak że wszystko wyglądało ciemno i niewyraźnie. Jeśli było tam coś różowego, zasłaniały to teraz wysepki omszałych głazów. Dostrzegł jednak, że to coś składa się z siedmiu zaokrąglonych ramion, oddzielonych albo połączonych, i że ptaki skrzeczą i wrzeszczą bez przerwy, lecz najwyraźniej boją się podfrunąć zbyt blisko.

Pan Fison, dręczony ciekawością, zaczął przedzierać się między potrzaskanymi przez fale głazami, a widząc, że są niezwykle śliskie z powodu okrywającej je grubej warstwy wilgotnych porostów, zatrzymał się, zdjął buty i skarpetki i podwinął spodnie do kolan. Oczywiście nie miał ochoty wpaść do którejś z rozlanych dokoła i najeżonych kamieniami kałuż, i możliwe, że się nawet ucieszył, jak wszyscy mężczyźni, gdy mają okazję wrócić choćby na chwilę do wrażeń z dzieciństwa. Tak czy inaczej tej właśnie okoliczności bez wątpienia zawdzięcza swe życie.

Zbliżał się do celu z tą pewnością siebie, jaką w tym kraju całkowity brak zagrożenia przez jakiegokolwiek formy zwierzęcego życia zapewnia jego mieszkańcom. Zaokrąglone ramiona poruszały się od czasu do czasu, lecz dopiero, gdy wdrapał się na jedną z kamiennych wysepek, o których wspominałem, uświadomił sobie straszliwą istotę swego odkrycia. Stało się to dość gwałtownie.

Ramiona rozdzieliły się, gdy się pojawił na krawędzi wysepki i okazało się wtedy, że różowym przedmiotem są częściowo pożarte zwłoki ludzkie, ale czy to był mężczyzna czy kobieta, pan Fison nie mógłby powiedzieć. Natomiast okrągłe ramiona były nie znanymi i upiornie wyglądającymi stworzeniami o kształcie przypominającym nieco ośmiornicę, z olbrzymimi, bardzo długimi i giętkimi mackami, wijącymi się gęsto po ziemi. Ich skóra miała odrażającą połyskliwą fakturę, wyglądała jak polakierowana, zagięty w dół i otoczony mackami pysk, dziwaczna narośl przy tym wygięciu, macki i wielkie inteligentne oczy nadawały tym istotom wygląd groteskowej twarzy. W obwodzie miały rozmiar dużej świni, zaś macki, jak się mu wydawało, osiągały długość wielu stóp. Fison sądzi, że tych stworzeń było co najmniej siedem albo osiem. Dwadzieścia jardów za nimi, z kipieli powracającego teraz przyływu, wynurzały się dwa dalsze.

Potwory leżały płasko na skałach, a ich oczy obserwowały go ze złowrogim zainteresowaniem; nie wydaje się jednak, że pan Fison się przestraszył albo by uświadomił sobie, że grozi mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Prawdopodobnie jego pewność siebie wynikała z faktu, że wyglądały na bezwładne. Lecz niewątpliwie wstrząsnęło nim, oburzyło i zdenerwowało to, że tak odrażające istoty pożerają ludzkie ciało. Krzyknął na nie, myśląc, że je odstraszy, a widząc, że się nie ruszają, obejrzał się, chwycił duży zaokrąglony kawałek kamienia i cisnął w jednego z potworów. A wtedy powoli rozwijając macki wszystkie zaczęły zbliżać się ku niemu — najpierw pełznąć powoli i wydając z siebie delikatny bulgoczący dźwięk.

W tejże chwili pan Fison zrozumiał, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Krzyknął znowu, cisnął oba swe buty i jednym skokiem rzucił się do tyłu. Stał dwadzieścia jardów dalej i obejrzał się, sądząc, że stwory poruszają się wolno, ale o dziwo macki ich przywódcy sięgały już poza krawędź skały, na której właśnie stał!

Krzyknął jeszcze raz, lecz już nie z pogróżką, teraz był to krzyk przerażenia, i zaczął skakać, biec, ślizgać się, brodzić po nierównym terenie ciągnącym się do plaży. Wysokie czerwone skały zdały się teraz bardzo odległe. Zobaczył, zupełnie jak istoty z innego świata, dwóch maleńkich robotników zatrudnionych przy reperacji drabiny i nie zwracających uwagi na ów wyścig o życie, który się pod nimi rozpoczął. Jednocześnie słyszał, jak monstra pluskają w rozlewiskach, nie dalej niż dziesięć stóp za nim. Raz się pośliznął i nieomal upadł.

Ścigały go aż do samego podnóża skał i przestały dopiero wtedy, gdy przyłączył się do robotników przy drabinie. Wszyscy trzej zaczęli w niego ciskać kamieniami, a następnie pobiegli na wierzch klifu i ścieżką do Sidmouth, by sprowadzić pomoc i łódź, i wyrwać sprofanowane ciało ze szponów odrażających istot.

## II

I jakby nie miał dosyć niebezpieczeństw owego dnia, pan Fison popłynął łodzią, by wskazać dokładnie miejsce swej przygody.

Ponieważ był odpływ, musieli nadłożyć sporo drogi, by dotrzeć do tego punktu, a kiedy wreszcie znaleźli się naprzeciw drabiny z poręczą, zwłoki zniknęły. Woda zaczęła znowu przybierać, zatapiając najpierw jeden próg śliskiej skały, potem drugi, a czterej mężczyźni w łodzi — dwaj robotnicy, przewoźnik i pan Fison — zwracali teraz uwagę nie na punkty orientacyjne na brzegu, lecz na wodę pod stępką. Najpierw niewiele w niej widzieli poza ciemną dżunglą wodorostów i przemykającymi od czasu do czasu rybami. Nastawili się na przygodę i bezceremonialnie dawali wyraz swemu rozczarowaniu. Lecz nagle ujrzeli jednego z potworów, który płynął w kierunku pełnego morza dziwnym potoczystym ruchem przypominającym panu Fisonowi obroty balonu na uwięzi. I prawie natychmiast falujące gąszcze wodorostów zmierzwiły się, rozdzieliły na chwilę, a trzy bestie stały się wyraźnie widoczne. Walczyły między sobą o coś, co prawdopodobnie było jakąś częścią ciała topielca. W chwilę potem gęste oliwkowozielone wstęgi znów się zamknęły nad tą skłębioną grupą.

Wtedy wszyscy czterej mężczyźni, ogromnie podnieceni, zaczęli bić wodę wiosłami i krzyżeć, i natychmiast wszczął się ruch wśród wodorostów. Najpierw nie widzieli wyraźnie, lecz gdy tylko woda się wygładziła, dostrzegli — a przynajmniej tak im się wydało — że całe dno morskie między morszczykami jest pełne oczu.

— Parszywe świnię! — wrzasnął jeden z mężczyzn. — Przecież tam są całe ich gromady!

Nagle owe monstra zaczęły się wynurzać z wody wokół łodzi. Pan Fison opisywał potem autorowi tę zatrważającą erupcję rozfalowanych łąk wodorostów. Wydawało mu się, że trwa to dłuższy czas, lecz prawdopodobnie wszystko odbyło się w ciągu kilku sekund. Przez chwilę nic tylko oczy i nagle — jak mówił — wyłoniły się macki przerywając tu i ówdzie gęstwę morszczyków. A później stwory zaczęły się powiększać, aż wreszcie całe dno pokryły ich wijące się kształty, a ciemne końce macek wyrastały gdzieniegdzie w powietrzu nad kipiłą fal.

Jedna zuchwale pojawiła się przy kadłubie łodzi i przywierając do niej trzema ukształtowanymi jak przyssawki mackami przerzuciła cztery dalsze za burtę, jakby chciała przewrócić łódź albo wpełznąć do niej. Pan Fison natychmiast chwycił bosak i dźgając wściekle miękkie czułki, zmusił je do cofnięcia się. Z tyłu uderzył go w plecy i nieomal wyrzucił za burtę przewoźnik, który posługiwał się wiosłem, odpierając podobny atak z przeciwnej burty. Ale macki po obu stronach łodzi nagle rozluźniły swój chwyt, zniknęły z pola widzenia i plusnęły do wody.

— Lepiej uciekajmy stąd — powiedział Fison drżąc gwałtownie. Podeszedł do steru, natomiast przewoźnik i jeden z robotników usiedli i zaczęli wiosłować. Drugi robotnik stał na dziobie z bosakiem, gotów do uderzenia, gdyby znowu pojawiły się macki. Zdaje się, że nikt już się więcej nie odzywał. Pan Fison najlepiej wyraził odczucia wszystkich. Zdenerwowani, wystraszeni, o pobladych i ściągniętych twarzach, zaczęli wycofywać się z sytuacji, w którą tak beznadziejnie się wplątali.

Zaledwie jednak wiosła zanurzyły się w wodzie, gdy ciemne, cienkie, węzowe liny oplatały je i zaczęły to samo robić ze sterem, a na burty łodzi wijąc się węzowo wypełzły przyssawki. Ludzie ściskali wiosła i ciągnęli je, lecz wyglądało to tak, jakby ktoś próbował poruszyć łódź w pływającej kępie wodorostów. — Na pomoc! — krzyknął przewoźnik, a pan Fison i drugi robotnik rzucili się, by pomóc wyciągnąć wiosło.

Potem człowiek z bosakiem — nazywał się Ewan czy Ewen — skoczył klnąc i począł kłuć wzdłuż burty, jak tylko mógł sięgnąć, w gęstwę macek, które przyczepiły się teraz do dna łodzi. Jednocześnie obaj wiosłarze wstali, by mieć lepszą pozycję do wyciągnięcia wiosła.

Przewoźnik oddał swoje panu Fisonowi, który szarpał je rozpaczliwie, sam natomiast otworzył wielki składany nóż i wychylając się za burtę zaczął rąbać owijające się wokół trzonu wiosła macki.

Pan Fison zataczał się wskutek dygotania łodzi, zaciskając zęby i ledwie dysząc, a żyły wystąpiły mu na czoło, gdy szarpał swe wiosło. Nagle rzucił okiem na morze. I oto, nie dalej niż pięćdziesiąt jardów, na długich toczących się falach powracającego przyływu, unosiła się duża łódź z trzema kobietami i małym dzieckiem. Przewoźnik wiosłował, a nieduży mężczyzna w słomkowym kapeluszu z białą wstążką i w białym garniturze stał na rufie i coś wołał. Pan Fison najpierw pomyślał oczywiście o pomocy, lecz potem zwrócił uwagę na dziecko. Puścił wiosło, wyrzucił dramatycznym gestem ramiona i krzyknął do towarzystwa w drugiej łodzi, by się „na miłość boską!”, nie zbliżało. O skromności i odwadze pana Fisona najlepiej świadczy fakt, że chyba nie zdaje sobie sprawy, iż była choćby odrobina bohaterstwa w jego postępowaniu w tej krytycznej chwili. Wiosło, które upuścił, natychmiast zniknęło pod wodą i ukazało się znowu na powierzchni jakieś dwadzieścia jardów dalej.

W tej samej chwili Fison poczuł, że łódź pod jego stopami zatacza się gwałtownie, a ochrypli krzyk, przeciągły wrzask grozy, który wydobył się z gardła przewoźnika Hilla, spowodował, że w ogóle zapomniał o wycieczkowiczach. Odwrócił się i zobaczył, że Hill kucnął przy przedniej dulce, jego twarz jest wykrzywiona z przerażenia, a prawe ramię ma za burtą i coś ściga je w dół. Wydawał z siebie urywane przeraźliwe okrzyki — coś w rodzaju „o! o! o!” Pan Fison przypuszcza, że musiał rąbać macki pod powierzchnią wody, a one wtedy go chwyciły, jakkolwiek teraz nie można na pewno powiedzieć, co się właściwie stało. Łódź przechylała się, tak że tylko parę cali dzieliło burtę od wody i zarówno Ewan, jak i drugi robotnik, tłukli jej powierzchnię wiosłem i bosakiem po obu stronach ramienia Hilla. Pan Fison instynktownie umieścił się tak, by stanowić dla nich przeciwwagę.

Wtedy Hill, który był krępy, potężnym mężczyzną, dokonał straszliwego wysiłku i uniósł się niemal do postawy stojącej. Rzeczywiście, wyciągnął ramię z wody. Zwisła z niego płatanina brunatnych powrozów, zaś oczy jednego z potworów, który przyssał się do ramienia, patrzące bystro i rezolutnie, ukazały się na chwilę nad powierzchnią morza. Łódź przechylała się coraz bardziej, a zielonobłękitna woda zaczęła się wlewać kaskadą do wnętrza. Nagle Hill pośliznął się i upadł uderzając żebrami o burtę, a jego ramię z masą przyssanych do niego czułków plusnęło znowu w wodę. Przetoczył się na bok, butem trafił w kolano pana Fisona, gdy ten dżentelmen rzucił się, by go przytrzymać. Następnie nowe macki owinęły mu się, wokół pasa i szyi, i po krótkiej kurczowej walce, podczas której łódź nieomal się wywróciła, Hill został ściągnięty do morza. Łódź wyprostowała się gwałtownie, rzucając pana Fisona na przeciwległą burtę, tak że walka w wodzie znikła mu z pola widzenia.

Chwiejąc się usiłował przez chwilę odzyskać równowagę, a gdy mu się to wreszcie udało, uświadomił sobie, że ta szamotanina i wzmagający się przyływ zniosły łódź znowu w pobliże omszałych głazów. Nie dalej niż o cztery jarde w regularnych odstępach czasu wynurzała się jeszcze płaska skała. W mgnieniu oka pan Fison wyrwał wiosło Ewanowi, uderzył nim z rozmachem w wodę, potem rzucił je, pobiegł na dziób i skoczył. Czuł, że nogi ślizgają mu się po kamieniu i kurczowym wysiłkiem skoczył na następny głaz. Potknął się, upadł na kolana i poderwał się znowu.

— Uwaga! — krzyknął jakiś głos i coś wielkiego i szarego uderzyło Fisona, zwalając go z nóg i wtrącając w rozlewisko. Był to jeden z robotników. Pan Fison padając słyszał zduszone i rżące krzyki, które, jak mu się zdawało, dobiegały z miejsca, gdzie znajdował się Hill. A potem wydało mu się dziwne, że Hill krzyczy tak przenikliwie i łamiącym się głosem. Ktoś przeskoczył nad nim, zakrzywiony jęzor spienionej wody przewalił się i opadł. Pan Fison wygramolił się na nogi i ociekając wodą, nie zerknąwszy w stronę morza, pędzony strachem pobiegł jak najszybciej ku brzegowi. Przed nim, na płaskim, zasypianym kamieniami terenie brodzili potykając się dwaj robotnicy — jeden o jakieś dziesięć jardów przed drugim.

Zerknął przez ramię i widząc, że nic go nie ściga, odwrócił się. Ogarnęło go zdumienie. Od chwili wynurzenia się głowonogów, działał zbyt szybko, by całkowicie uświadamiać sobie swe czynności. Teraz wydawało mu się, jakby nagle obudził się ze złego snu. Albowiem nad nim było niebo, bezchmurne i rozjarzone popołudniowym słońcem, morze rozlane pod tą bezlitosną jasnością, miękka śmietankowa piana przyboju i długie, bardzo długie ciemne grzbiety fal. Wyprostowana łódź dryfowała, unosząc się i opadając łagodnie na fali w odległości około dziesięciu jardów od brzegu. Hill i potwory, całe to napięcie i tumult dzikiej walki o życie zniknęły, jakby nigdy ich nie było.

Serce pana Fisona biło gwałtownie; drżał cały aż do koniuszków palców i oddychał głęboko.

Czegoś brakowało. Przez kilka sekund nie mógł sobie wyraźnie uświadomić, co by to mogło być. Słońce, niebo, morze, skały... o co chodzi? Potem przypomniał sobie łódź z wycieczkowiczami. Zniknęła. Zastanowił się, czy mu się przypadkiem to nie wydawało. Odwrócił się i zobaczył obu robotników stojących obok siebie pod wystającą masą różowych skał. Zawahał się, czy może jeszcze dokonać ostatniej próby ocalenia tego Hilla. Podniecenie fizyczne jakby gdzieś się ulotniło, pozostawiając go w stanie bezradności i apatii. Zwrócił się ku brzegowi i potykając się zaczął brodzić ku swym dwu towarzyszom.

Obejrzał się znowu i zobaczył, że teraz dryfują dwie łodzie, a ta znajdująca się dalej na morzu podskakuje niezdarnie, do góry dnem.

### III

W ten to sposób *Haploteuthis ferox* pojawiła się u brzegów Devonshire. Jak do tej pory, był to jej najbardziej groźny atak. Relacja pana Fisona w zestawieniu z serią śmiertelnych katastrof łodzi i wypadków w kąpeli, o których już wspominałem, oraz nieobecność w owym roku ryb u brzegów Kornwalii, wskazują wyraźnie, że te drapieżne monstra z głębin morskich czatowały w poszukiwaniu żeru na linii odpływu. Jak mi wiadomo, przypuszczano, że siłą, która je tu zapędziła, była migracja głodowa, lecz ze swej strony wolę wierzyć w alternatywną teorię Hemsleya. Hemsley uważa, że stado tych stworzeń zasmakowało w ludzkim mięsie, natrafiwszy przypadkiem na rozbity statek, i powędrowało w poszukiwaniu tego żeru dalej, opuszczając swe zwykłe siedliska: najpierw czatując na statki i płynąc za nimi; w ten sposób dotarły do naszych brzegów w śladach torowych atlantyckiej żeglugi. Dyskutowanie jednak o przekonujących i w sposób godny podziwu przedstawionych argumentach Hemsleya byłoby tu nie na miejscu. Wydaje się, że apetyty stada zostały zaspokojone schwytaniem jedenastu ludzi — gdyż, o ile można ustalić, w drugiej łodzi było dziesięć osób — iż całą pewnością potwory nie dały już znać o sobie w tym dniu pod Sidmouth. Brzeg między Seaton a Budleigh Salterton patrolowały tamtego wieczora i nocy cztery łodzie służby ochrony wybrzeża, których załoga uzbrojona była w harpuny i kordelasy, a w miarę upływu czasu przyłączyła się do nich pewna liczba mniej lub bardziej podobnie wyekwipowanych ekspedycji, zorganizowanych przez osoby prywatne. Pan Fison nie wziął udziału w żadnej z tych wypraw.

Koło północy usłyszano nerwowe krzyki z łodzi znajdującej się około dwóch mil od brzegu na południowy wschód od Sidmouth i zobaczono latarnię poruszającą się w dziwny sposób w lewo i prawo oraz w górę i w dół. Bliższe łodzie natychmiast pospieszyły do źródła alarmu. Żądni przygód pasażerowie tamtej łodzi — marynarz, wikary i dwaj uczniowie — zobaczyli właśnie głowonogi przepływające pod ich stępką. Wydawało się, że zwierzęta te fosforyzują, podobnie jak większość organizmów głębinowych. Płynęły przez czerń wody może pięć sążni pod powierzchnią niby jakieś zjawy z księżycowej poświaty, macki miały ściągnięte i jak gdyby we śnie toczyły się bez końca, płynąc wolno w szyku klinowym na południowy wschód.

Świadkowie tego zjawiska opowiadali o nim gwałtownie gestykulując, gdy tylko dotarła do nich pierwsza łódź, a potem druga. Wreszcie zebrała się mała flotylla, składająca się z ośmiu czy dziesięciu łodzi, i wszczął się tumult jak na miejskim rynku, zakłócając nocną ciszę. Na ogół nikt nie miał zamiaru ścigać stada, ludzie nie mieli broni ani doświadczenia w takich wątpliwych wypadkach i wreszcie — nawet z uczuciem niejakiej ulgi — zawrócili w swych łodziach do brzegu.

A teraz należy opowiedzieć o najbardziej chyba zdumiewającym fakcie w tym całym zdumiewającym najeździe. Nie mamy najmniejszego rozeznania w dalszych ruchach stada, jakkolwiek cały już południowo-wschodni brzeg był na nie uczulony. Pewne jednak znaczenie może mieć fakt, że 3 czerwca na płyciźnie koło Sark utknął jeden kaszalot. W dwa tygodnie i trzy dni po wydarzeniach pod Sidmouth żywa *Haploteuthis* pojawiła się na plaży pod Calais. Była na pewno żywa, albowiem różni świadkowie widzieli, że jej macki poruszały się konwulsyjnie. Lecz prawdopodobnie zdychała. Pewien dżentelmen nazwiskiem Pouchet chwycił sztucer i zastrzelił ją.

Te było ostatnie pojawienie się żywej *Haploteuthis*. Innych już nie widziano na francuskim wybrzeżu. Koło 15 czerwca morze wyrzuciło na brzeg koło Torquay martwy, prawie nie uszkodzony okaz, a w parę dni później statek laboratorium biologicznego marynarki, przeprowadzający sondowania pod Plymouth, wydobył gnijącą padlinę z głęboką raną od kordelasa. Jak pierwszy z tych stworów rozstał się z życiem, nie udało się ustalić. Wreszcie

ostatniego dnia czerwca pan Egbert Caine, artysta, kąpiąc się w pobliżu Newlyn wyrzucił w górę ręce, wrzasnął i zniknął pod wodą. Przyjaciół kąpiący się z nim nie próbowali go ratować, lecz natychmiast popłynęli do brzegu. To jest ostatnie znane wydarzenie z tego niezwykłego ataku z głębin morskich. Czy istotnie po raz ostatni słyszymy o tych straszliwych monstrach, trudno jeszcze powiedzieć. Lecz sądzi się i z pewnością trzeba mieć taką nadzieję, że wróciły znowu, i to na dobre, do pozbawionych słońca głębin morskich, z których tak niesamowicie i tak tajemniczo wychynęły.